Nr. 1. Kraków, Styczeń 1916. Rok X.

POLSKI SIEW



REDAKCYA
i Administracya:
Kraków,
ul.
Franciszkańska
L. 3.

Cena egzemplarza wynosi 10 halerzy.

TREŚĆ NUMERU I-go:

Polski Siew.

Siewcą jest człowiek, bo rzuca ziarna na skibę, aby zdobyć chleb powszedni; na roli serc w swem otoczeniu sieje zasady cnoty; prawdy poznane przekazuje następcom; sieje więc ziarna chleba, cnoty i prawdy.

Lecz nietylko jednostka jest siewcą, siewcami są także narody. Cóż siały przez wieki? Egipcyanie poświęcali się szukaniu mądrości, Grecy uprawiali i przekazali nam sztukę, Rzymianie doskonały sposób rządzenia państwem. Naród izraelski otrzymał od Pana Boga szczególne posłannictwo, aby z pokolenia na pokolenie przekazywał proroctwa o przyszłym Zbawicielu świata. Siały więc narody bądź ziarna mądrości, bądź sztukę, bądź naukę o prawdziwym Bogu.

A cóż szczególnego zdziałał naród polski, jakiż był ten siew, który możemy nazwać polskim siewem, bo podobnego nie miały inne narody? Polskę nazwano słusznie „Przedmurzem chrześcijaństwa“, bo na wschodzie Europy rzucała hojną ręką siew nauki katolickiej i zasłaniają ją piersią rycerstwa przed najazdami niewiernych. Polscy zakonnicy szli daleko na wschód, aby tam głosić naukę Chrystusa. Polska ochrzciła Litwę, Ruś szyzmatycką połączyła z Kościołem katolickim. To był siew polski, siew wiary i cnoty.

Ojcowie nasi byli dobrymi siewcami. Dobry rolnik nietylko obsiewa pola, lecz gdy leżą nad rzeką, wznosi tamy, aby powódź nie zniszczyła zasiewu. Tak było u nas. Co kapłan posiał w sercach i umysłach wiernych, tego broniły polskie wojska, stojąc jako wał i mur, o który rozbijały się najazdy Tatarów i Turków pod Chocimem i Wiedniem.

Siejąc na obcych niwach, nie zaniedbywaliśmy roli własnej. Wiara kwitnęła w narodzie, a z niej płynęło męstwo i siła. Wtedy Polska była najsilniejszą, gdy na jej ziemiach żyli liczni Święci, jak za Jagiellonów, gdy w samym Krakowie pracowało równocześnie sześciu Świętych.

Dzisiaj, gdy ojczyźnie naszej świta jutrzenka swobody, siew ten pogłębić należy nanowo, aby zrodził wielkich ludzi, a prawdziwa wielkość płynie z cnoty, a cnota z wiary płynie. Rzucajmy więc hojną ręką jej ziarna w serca własne i w serca współbraci, niechaj posiew ten wyda cnotliwych, dzielnych i świętych obywateli.

Niech się rozwija, niechaj zakwita nanowo z wiary płynący Polski Siew.

Z Nowym Rokiem.

Zamarł znów rok jeden, rok wielkiej wojny, brzemienny w niedole i uciski — zapadł się bezpowrotnie w pomroce wieczności. A oto z kurzącej krwi i morza ognia wyłania się w młodzieńczej krasie Rok Nowy, pełen różowych nadziei.

Tulą wszyscy łzy, co im je wojenna niedola starego roku wycisnęła i z otuchą poglądają na nowego przybysza, stającego na krawędzi wieków.

„Żali lepszą dolę nam niesiesz, Roku Nowy?“ — pytają ludziska nieśmiele, jakby się bali rozwiać tej nadziei, jaka dziś serce każdego opromienia.

Stęsknione za szczęściem serce ludzkie, szczęścia tylko szuka, o szczęściu mówi i o szczęściu jeno rade słucha.

I o szczęściu tylko wokół dziś się mówi. Szczęścia i pomyślności i lepszej doli wszyscy sobie wzajem życzą.

— Piękny objaw chrześcijańskiej miłości bliźniego te wzajemne życzenia...

Ale, trzeźwo rzecz biorąc, pytamy często — na co one się zdadzą? Czyż to słowo życzliwości, co nim ucha przyjaciela dosięgnie, na powietrzu zwiędnie, stworzy to szczęście, o którem ludzie prawią?

Chyba nie!

Jedno tylko życzenie spełnić się może, bo w ludzkiej leży mocy, a Bóg mu zawsze dopomaga. Życzenie zaś owo najwyższe szczęście wypowiada.

Cóż to za życzenie?

To życzenie szczęścia, które nigdy nie mija, ale trwa wiecznie i nigdy nienasycone ludzkie serce — całkowicie syci.

Bogobojność życia na ziemi i w nagrodę za nią chwała niebieska w wieczności jest tą pełnią szczęścia, które w naszej mocy leży.

A że ta pełnia szczęścia w wieczności, od bogobojnego życia na ziemi zawisła, więc tej bogobojności w życiu życzyć nam sobie wystarczy. Że ta bogobojność jest zadatkiem owej przyszłej szczęśliwości, to nas doświadczenie uczy. Bo bogobojny jeno człowiek jest na ziemi szczęśliwy. Bogobojnego żadna niedola nie zmoże.

Tej bogobojności serca zatem życzyć nam sobie dziś z Nowym Rokiem trzeba.

Kto z Bogiem, Bóg z nim, a z kim Bóg, kto przeciw niemu?

Opowiadanie o Bożem Narodzeniu.

Boże Narodzenie.

Cały tydzień padał śnieg, tkając świąteczny strój dla śpiącej ziemi. Zima myślała dzisiaj dobrze, miało być prawdziwe, białe święto Bożego Narodzenia.

Gody! Jak uszczęśliwiający cud, ciche, pełne tajemnicy przeczucie przechodzi przez przyrodę, przez każde serce człowieka. Lecz nie — nie zawsze i nie wszędzie działa cudowna siła tego słowa.

Daleko na przedmieściu, w ubogiej stancyjce na poddaszu nie słychać ani okrzyków, ani radości godowych.

W ubożuchnej stancyjce pracuje blada, młoda kobieta nad szyciem. Ponure światełko oświeca tylko słabo małe miejsce. W zimnym kąciku pieca siedzą dwie małe istoty, dziewczynka sześcioletnia i jeszcze młodszy chłopczyk. Nędzne i głodne patrzą smutnemi oczami. Te biedne dzieci nie znają radości, szczególnie radości Bożego Narodzenia. Boże Narodzenie — szopka — choinka — zamknięta stancyjka, w której anioł i Dzieciątko swoje skarby ukrywają — słodki zapach jodełki, pierniki, marcypany i wszelkie inne rzeczy — są dla nich obce i nieznane. Mała Małgorzatka zna je ze szkoły, do której od dłuższego czasu uczęszcza i gdzie o takich rzeczach wiele słyszała. — Z podmuchem uderza wiatr o szyby okien, i wieje z zimnym podmuchem przez małą stancyjkę.

Lecz malcy nie marzną w zimnym kąciku pieca, chociaż mają niebieskie wargi i czerwone noski. Ich serca i myśli są przy Dzieciątku Jezus. Przez to zapomniały o głodzie i zimnie.

Pilnie szyje biedna kobieta. Bezustannie spływają jej łzy, podczas gdy podsłuchuje rozmowę malców.

— Dlaczego gwiazdka przyszła do innych dzieci, a do nas nigdy? — zapytał mały chłopczyk swoją siostrzyczkę.

— Dzisiaj przyjdzie i do nas, my byłyśmy zawsze grzeczne — zauważyła roztropnie mała dziewczynka.

— Gwiazdka przyniesie mi konia.

— A mnie lalkę, a naszej ukochanej mamie chusteczkę na szyję i ciepłe pończochy, aby była znowu zdrowa i nigdy nie marzła.

Ta niewinna rozmowa raniła serce matki. Ona nie miała nic, coby mogła podarować swym dzieciom.

— Cynowe żołnierze i konia — zaczął mały chłopiec, przestał jednak, gdy mu siostrzyczka szepnęła do ucha:

— Mama płacze!

Te biedne dzieci słyszały niedawno tak wiele narzekań, tyle łez widziały, że nie bardzo się tem przestraszyły, lecz zamilkły i wsunęły się więcej w kąt pieca.

Jakiś czas siedziały obydwoje cicho. Oczywiście oczekiwały przybycia kochanej gwiazdki.

— Ale długo nie przychodzi — westchnął mały chłopczyk.

— Pierwej musi pójść do bogatych dzieci, a potem przyjdzie do nas — pouczała go dziewczynka — dzisiaj przyjdzie do nas z pewnością.

W tem zapadł mrok.

— Gwiazdka nie przyjdzie. Wiecie, że ja nie mam pieniędzy, aby kupić chleba i drzewa... bądźcie grzeczne i dobre... może przyjdzie innym razem — wydusiła strapiona kobieta.

Wyście je nie widzieli te biedne, małe istoty, z blademi, wązkiemi policzkami, których oczy były tak ponure i smutne, jakby się nazywało: „Gwiazdka nie przyjdzie do was dzisiaj“.

Czy wiecie, co się dzieje w sercu dziecka, do którego wkradła się troska i beznadziejność, która nie zna żadnej radości?

Biedne, biedne dzieci! Biedne, dręczone serce matki!

Czy może być coś smutniejszego, jak to, że ten dzień najwyższej radości nie można święcić z innymi milionami wesołych serc chrześcijańskich, i to jedynie z winy męża i ojca!...

Jednak słuchaj! Na dworze słychać zachrypły głos pijanego mężczyzny. Dzikie stąpanie i hałas, ciężkie upadnięcie — jak zawsze, tak też i dzisiaj, w święty wieczór, pijany do nieprzytomności przychodzi do domu.

Biedne dzieci wsunęły się w najciaśniejszy kącik. Niezrozumiale patrzą na ojca, na jego czerwoną, nabrzmiałą twarz, na jego zapadnięte oczy. Jaki smutny obraz — Boże Narodzenie — mąż i ojciec upity do nieprzytomności... dokuczliwe zimno, głód i bieda.

Takie owoce wydaje alkohol.

* * *

Dźwięk dzwonów słychać z pobliskiej wieży kościelnej. Biedna kobieta ocknęła się ze swej drzemki. Nie przerywając spokoju dzieci ani snu męża, opuszcza bez szmeru stancyjkę i idzie z innymi mieszkańcami domu na pasterkę. Wyczerpana ze sił usiada w ostatniej ławce.

Blask światła i śpiew anielski! Znużone i smutne oczy mogą zaledwie znieść blask. Do tego te piękne pieśni godne. Wszystko tylko radość i zadowolenie.

Jednak ona myśli tylko o swoich dzieciach w domu — i gorące, ciężkie łzy spadają z jej oczu.

Ostatnie tony organów przebrzmiały, świece na ołtarzu zgasły, wszyscy ludzie opuścili kościół. Nareszcie i ona odchodzi do domu.

Czy już dzieci się obudziły? Jednak nie! wszystko jeszcze cicho. Wtem jakiś szelest, jakby spieszne kroki, trzeszczenie papieru; teraz zabłysnął przez okna jasny blask świec. To nie jest złudzenie. Tam wewnątrz urządza gwiazdka stół godowy.

— — — Stary przyjaciel rodziny, wierny swemu przekonaniu abstynent, był także na pasterce. Zobaczywszy biedną płaczącą kobietę, uczuł w sobie litość. Spiesznie pobiegł do domu, porozumiał się z żoną i pospieszył z nią, aby jeszcze przed powrotem biednej kobiety przyozdobić stół.

Spiesznie rozścieliła żona biały obrus na stole i położyła zapakowane rzeczy na nim — także lalka dla małej Małgosi i koń dla jej brata był przytem. Potem ustroili spiesznie małą choinkę jabłkami i orzechami i pozakładali kilka świeczek. Już świeciły się świece, już poruszały się dzieci w swym śnie — wtem weszła także matka. Jaśniej zabłysnął złoty blask świec. Wtem otwierają dzieci swe oczy.

— Gwiazdko, gwiazdko, jesteś tu?

I teraz obchodzono także „Boże Narodzenie“ w biednej stancyjce na poddaszu, lecz pomimo tego nie było ono wesołe, i nie może być nigdy, jak długo alkohol w rodzinie panuje.

* * *

W rok później. Znowu zawitała gwiazdka do kraju. W parterowem mieszkaniu jednej z pobocznych ulic obchodzono Boże Narodzenie. Na biało zakrytym stole leżały pożyteczne, piękne rzeczy: książki, ubrania, zabawki i t. p. Na środku stała piękna, ciemna choinka, na której gałązkach wisiały czerwone jabłka, złote orzechy i marcypany, między któremi znów jaśniały woskowe świece.

Przed stołem stał stosunkowo jeszcze młody mężczyzna z rozweseloną twarzą, delikatna, młoda kobieta oparła się na jego plecy, zwró-

ciwszy łagodny wzrok na dzieci, które objęte radością obdarowaniem gwiazdki, osłupiałe i nieruchome stały.

Ci szczęśliwi ludzie w ciepłej stancyi byli... biedne, nieszczęśliwe istoty z poddasza daleko na przedmieściu.

Zaraz po tym wieczorze godowym zerwał ten człowiek ze swojem dawniejszem pożyciem. Jego stary przyjaciel wykazał mu jego złe prowadzenie się, wskazał mu złe drogi, po których postępował, przygotował go do wstrzemięźliwości i wymógł na nim przyrzeczenie, że ani kropli alkoholu pić nie będzie. Od tego czasu, prawie trzy czwarte roku żył całkiem nic nie pijąc. Wszystko, co ofiarowywał flaszce, pozyskał napowrót: siebie samego, szczęście swoje i swojej rodziny, oraz spokój domowy. Całkiem inaczej wyglądał od czasu, gdy wstrzemięźliwość zajęła miejsce w jego domu, spokój i zgoda, szczęście i radość wróciły, gdzie już od dawna swoje miejsce straciły.

Pełen wzruszenia ujął w swoje objęcia bladą żonę.

— Słuchaj, dzisiaj przyrzekam ci jeszcze raz, że nigdy więcej w mojem życiu nie wypiję ani kropli alkoholu.

Długo i serdecznie spoglądali na siebie, potem wsparła żona swą głowę na jego ramieniu, a łzy radości spływały po jej twarzy.

A na dworze odezwały się dzwony godowe.

B. L., nauczycielka.

Nowy Rok w pożodze wojny.

Znowu rok minął!

Przewalił się falą krwi i łez i w przepaści wieków utonął... A oto nowa fala napływa. Wojna gorzeje i krwawe blaski po świeżej fali czasu ściele.

I drży z lęku i niepewności serce człowiecze, bo znów na krwawej fali w nowe lato płynąć trza będzie...

Czas, to jak woda, co płynie i płynie i wiecznie płynie — a życie ludzkie to żegluga po tych, wieczyście płynących wodach.

„Szczęść Boże!“ wołają żeglarze, gdy statek od brzegu odbija.

Boga na pomoc przyzywają. Tak! Bo On, Pan nad pany i wichrom i burzom i morskim nawałnicom rozkazuje...

Przyszedł Rok Nowy. Na nowej fali czasu mamy płynąć dalej w nieznane przestworza życia. Przeto „Szczęść Boże!“

O tak! „Szczęść nam Boże!“ Wszak szczęścia każde serce ludzkie pragnie, a tego szczęścia nigdy nie syte, wiecznie łaknie i w pogoni za niem całe życie na ziemi z przeciwnościami się boryka.

W pogoni za szczęściem dziś cała niemal ludzkość stanęła do krwawej rozprawy.

Świat stał się podobny rozhukanemu morzu, gdzie fale idą i wracają i tłuką się jedna o drugą i pienią się i nie znajdują spoczynku. A z pośród tej nawałności, huku i szumu rozszalałego żywiołu, wołają rozpaczliwe głosy: „P o k ó j, p o k ó j ! a n i e m a s z p o k o j u“ (Jerem. XIV. 3).

Tysiąc dziewięćset piętnaście lat temu rozebrzmiał nad cichą, żydowską mieściną, Betlejemem anielski śpiew: „Pokój ludziom dobrej woli!“ Bóg narodził się jako człowiek i przyniósł grzesznym synom ziemi „pokój“. I nasycił tym „pokojem“ złaknione szczęścia ludzkie serca, ale te jeno, co są „dobrej woli“. A choć to serca „u b o g i e, c i c h e, p ł a c z ą c e, s p r a g n i o n e, p r z e ś l a d o w a n e“ — to jednak — „b ł o g o s ł a w i o n e“. Wśród największych nawałności życia płyną pełne pokoju do przystani wiecznego szczęścia.

Oto droga do szczęścia: „dobra wola“, na pełnieniu woli Tego, co jest „D r o g ą, P r a w d ą i Ż y w o t e m“ oparta.

Wszystko na świecie przemija i ludzkie rachuby zawodzą, a tylko Prawda Boża wiecznie trwa i szczęściem syci.

Oby ta Prawda Boża, w obronie której już X. (10) rok stawamy, przejęła ludzkie serca na to „Nowe Lato“ — a wtedy lepsza dola nam zaświta.

Ogród szkolny.

X. Hugo Kołłątaj w listach swoich pisze, że Michał Czacki podczaszy koronny fundując w r. 1803 szkółkę parafialną w Sielcu między innemi polecił: że dyrektora (nauczyciela) obowiązkiem uważać ogród dla niego wyznaczony, jako celniejszy skład drzew owocowych, ogrodowin i roślin farbowych lub lekarskich dla wszystkich mieszkańców tego miejsca. On będzie uczył szczepić i okulizować drzewa owocowe i całego gospodarstwa ogrodowego. On dopilnuje, aby każdy mający ziemię, a będący pod władzą moją, żeniąc się posadził lub szczepił 4 drzewa owocowe, aby każdy urodzenie swego dziecięcia takąż liczbę drzew zasadzonych lub zaszczepionych w swoim ogrodzie oznaczył, aby nareszcie każdy, co daje dziecię do szkoły, za pierwszy rok 4 za drugi 8, za trzeci 16 drzew zaszczepił i zasadził. Będzie także dyrektor udzielał ogrodowin lub roślin podług przepisów. Oby ta rada znalazła i dziś jak najwięcej zwolenników.

Nowy Rok w dawnej Polsce.

Jak wszędzie, tak i w Polsce składano sobie w dniu Nowego Roku życzenia. Zwyczaj ten najpilniej uprawiała młodzież.

Ponieważ dawniej szkoły mieściły się przy klasztorach, a między dziatwą było wiele ubogich, przeto klasztor dawał tym biednym mieszkanie, a poczciwa ludność żywiła. Uczeń, „żakiem" wówczas zwany, chodził co dnia do wyznaczonego mu domu z garnuszkami, w które dawano mu jedzenie.

Gdy przyszedł dzień Nowego Roku, zbierali się żaczkowie w gromady i obchodzili wszystkie te domy, gdzie ich żywiono. Składali wdzięczne życzenia, a potem śpiewali, zawsze coś takiego, coby „dobrodziejów" i domowników uweseliło. Śpiewano n. p. kolędę:

„Na szczęście na zdrowie
Na ten Nowy Rok
Żeby wam się darzyło w komorze
W oborze

Kielo kołków
Telo wołków
Kielo jedlicek
Telo cielicek!"

Gdy później zaczęto i przy wiejskich kościołach uczyć dzieci kmiece, zaczęła uczniów miejskich naśladować młodzież wioskowa, chodząc „za nowem latkiem" po chatach i do dworu, winszując i zbierając w podarkach smaczne kęski na wieczorną biesiadę. Powinszowania wiejskich dzieciaków stosowały się do spraw rolników. Śpiewano przeto:

„Żeby wam się rodziło:
żytko — jak korytko,
pszenica — jak rękawica,
bób — jak żłób,
owies — jak skopiec,
len — jak pień".

Ale nie tylko drobna dziatwa chodziła po kolędzie. Chodzili i dorośli, najczęściej parobczaki. Dawniej, gdy w Polsce była obfitość dzikich zwierząt, noworoczni kolędnicy, dla dodania wesołości i pobudzenia szczodroty po domach, oprowadzali młodego wilka, niedźwiadka lub tura. W braku żywych zwierząt, przebierano się w ich skóry, a stąd powstało stare przysłowie: „biega, by z wilczą skórą po kolędzie". W braku skór przebierano się w zwyczajny kożuch, odwrócony włosem na wierzch, lub płachtę, z drewnianą głową kozią. Zwyczaj ten, „turoniem" powszechnie zwany, przechował się w wielu okolicach po dziś dzień.

W „stary rok" zbierano się gromadnie i przy towarzyskiej zabawie płatano sobie różne figle. Wciągano brony i wozy na kalenice, zapierano drzwi po domach z zewnątrz, przebierano się i straszono i t. p.

Uprzywilejowaną potrawą tego wieczoru była „lemieszka", sporządzona z mąki pszennej, żytniej lub hreczanej. Przy jedzeniu uderzano się łyżkami po policzkach i mazano tą lemieszką sąsiadom okna, na znak, żeby w ciągu nowego roku mieli wszyscy dostatek chleba w ustach i po domach.

Nowy Rok powinien był zawsze zastać bochen chleba na stole u gospodarza, jako znak obfitości tego daru Bożego, który przez cały rok nie powinien schodzić ze stołu, ale wraz z solą, przykryty białym ręcznikiem, służyć za poczęstunek dla gościa i ubogiego.

Przy powitaniu Nowego Roku obsypywano się wzajemnie owsem z życzeniem obfitego urodzaju. Ci, co obchodzili domy z powinszowaniem, nosili owies w rękawicy i na każdy róg stołu sypali po szczypcie, aby tak potem wszystkie rogi założone były chlebem.

Był też w Polsce powszechny zwyczaj figlarnego kradzenia sobie różnych rzeczy w ten wieczór i wykupywnia ich nazajutrz. Za wykupne wyprawiano w dniu noworocznym biesiadę.

Zwyczaj ten, powszechny niegdyś u możnej szlachty, był nieraz powodem licznych krotochwil.

Wszystkie te dawne zwyczaje nasze cechuje wielka swoboda ducha, wesołość i miłość. Dziś one zamierają. Snać nie odpowiadają dzisiejszemu duchowi czasu.

O tak! Dziś świat hołduje jeno używaniu ciała, a wszelką duchowość ze społecznego życia wyklucza. Dzisiaj wszystko się ogranicza na pijaństwie. Świadectwem tego owe „sylwestry", zwyczaj wraz z nazwą sprowadzony z Niemiec.

„Cudze chwalicie
Swego nie znacie",

biadał Wincenty Pol. I słusznie.

Niemiecki „sylwestrowy wieczór" zwano u nas „szczodrym wieczorem", a wszystkie owe zabawy: „szczodrakami", lub „szczodrówkami". „Szczodraki" odbywano po domach, a nie po szynkach i nie marnowano grosza, zdrowia i dobrej sławy. A z pewnością więcej było uciechy w owych domowych zabawach, niż w dzisiejszych, karczemnych.

Ale u nas tak zawsze. Swego, co dobre zbywamy, a od obcych najgorszą marnotę przyjmujemy. Dlatego nam źle i coraz gorzej. Wracajmy we wszystkiem do tego, w czemeśmy urośli, a w tej swojszczyźnie znów się odrodzimy.

Człowiek uczciwy.

Jakie to piękne miano: „człowiek uczciwy“! Święty Ludwik powiedział: „Mistrz Robert nauczał mnie, że wyraz: „uczciwy człowiek“ jest rzeczą tak wielką i tak dobrą, iż samo wymawianie go już zapełnia usta“.

Istotnie! Miano to jest tak wielkie, że nawet w ustach chrześcijanina, wobec wyższego miana „święty“ — ono nie blednie.

Nie dziwota! Wszak „uczciwość“ jest to zupełna zgodność życia z prawami sprawiedliwości, które Bóg wyrył w każdem sercu ludzkiem. Uczciwość unika bezwzględnie zła, a pełni jeno dobro. W pełnieniu zaś dobra nie baczy „uczciwy człowiek“ ani na ludzkie względy, ani na trudy i znoje, z jakiemi borykać się musi — i nie cofa się przed największą nawet ofiarą, tak, że śmiele rzec może z Wielkim Papieżem (Grzegorzem VII.): „Kochałem sprawiedliwość i nienawidziłem bezprawia, dlatego też umieram na wygnaniu“.

Takim jest „człowiek uczciwy“. Godzien, by czoła przed nim pochylić!

A jednak!

A jednak to człowiek jeszcze niezupełnie „uczciwy“.

Czemu?

Bo „uczciwy człowiek“ naszych czasów wypełnia jeno obowiązki względem ludzi, a nie poczuwa się do żadnej powinności względem Boga. Tak bowiem pojmuje „uczciwość“ dzisiejszy świat. Świat bierze w rachubę jeno sprawy doczesne i ludzkie, a na sprawy wieczne i Boże nie zważa.

A przecież to nie wystarcza. Chcąc bowiem być „uczciwym“ w całej pełni tego wielkiego miana, trzeba wypełnić wszystkie powinności, jakie tylko na człowieka nakłada życie. A tu na naczelnem miejscu stoją powinności człowieka względem Boga.

Wynika to już z istoty rzeczy. „Uczciwość“ bowiem opiera się na naturalnem poznaniu i umiłowaniu dobra.

Mocą czystego rozumu, bez pomocy objawienia, poznaje człowiek swój stosunek do bliźnich, do rodziny, do społeczeństwa i do narodu, i wedle tego poczucia rozróżnia ważność swych powinności.

Uznając w bliźnim równego sobie człowieka, dobro jego stwia na równi ze swojem i w imię „uczciwości“ opiera swe stosunki z ludźmi na zasadzie sprawiedliwości. Co sobie, to i każdemu powinien.

Do większej atoli już powinności poczuwa się „człowiek uczciwy“ względem rodziny. Zważywszy bowiem, iż rodzina na świat go wydała, wypielęgnowała i wprowadziła w życie, w podobny sposób spłaca jej swą dłużną powinność, poświęcając jej większość swych prac i zabiegów dla utrzymania starych rodziców i wychowania potomstwa.

„Uczciwość“ poświęca jednak i rodzinę dla powinności względem ojczyzny. Ojczyzna bowiem, owa wielka rodzina rodzin, jest w postanowieniu wyższa i większe są względem niej człowiecze powinności.

Tak wykazuje rozum.

Ale ten rozum, pnąc się w swych dociekaniach jeszcze wyżej, dochodzi wreszcie do powinności względem Boga.

Wszak już pogańscy mędrcy, bez pomocy Objawienia, odgadli Boga, nazwali Go Nieskończonym, Stwórcą i Panem wszech rzeczy i do służby Jemu ludzkość wzywali.

Ponad bliźnim, rodziną, społeczeństwem i narodem stoi Bóg!

Tak mówi rozum.

A na poznaniach tego rozumu opiera człowiek „uczciwość“. Jasnem jest przeto, że ta „uczciwość“ objąć i na czele stawić musi obowiązki względem Boga. Bez spełnienia tych obowiązków nigdy nie będzie „uczciwość“ zupełną.

„Uczciwość“ polega na czynie. Nikt nie nazwie „uczciwym“ człowieka, którýby n. p. miłosierdzie swoje opierał na wewnętrznem roztkliwianiu się, albo nawet na ronieniu łez współczucia, a usuwał się od czynnej pomocy nieszczęśliwemu. Nie! Bo miłosierdzie, to czyn! Tak je uważać każe rozum.

I wszystkie obowiązki ludzkie rozum tak uważać każe, bo trudno powinności rodzinne, albo społeczne ograniczyć do uczucia tylko...

Tak jest i z powinnościami względem Boga. Aczkolwiek te powinności zowie się dziś skromniutko „uczuciami religijnemi“ i chce je się tam, gdzieś w najskrytszym tajniku duszy ukryć, to przecież zdrowy rozum, uważając na duchowo-cielesną naturę człowieka w obowiązkach względem Boga, domaga się dwojakiej dla Niego czci: wewnętrznej i zewnętrznej. Nie może zatem „człowiek uczciwy“, opierający swe życie na wyrokach rozumu, ograniczyć swych powinności względem Boga do cichej, wewnętrznej wiary, ale musi je okazać na zewnątrz przez modlitwę, słuchanie Mszy św., przyjmowanie Sakramentów św. i t. d. Jego służba Bogu musi być jawną, jak jawną jest zawsze u niego służba ogólnemu dobru.

Tego się domaga „uczciwość“ w całej pełni i świętości swego wyrazu i takiej jeno „uczciwości“ należy się cześć. Połowniczość nie czyni nigdy nikogo „człowiekiem zasad“.

Trzech Króli — świętem narodów pogańskich.

Kilka wieków przed przyjściem Zbawiciela Prorocy przepowiedzieli Jego narodzenie. Pan Jezus — narodziwszy się — pociągnął do Siebie przedewszystkiem wybranych z narodu

żydowskiego. Ale Pan Jezus powołał również do Siebie trzech królów, a przez nich temsamem wszystkie narody pogańskie.

Dlatego uroczystość Trzech Króli przypomina nam tę prawdę, że narody pogańskie powołane również zostały do prawdziwej wiary i jak w różnych wiekach różne narody weszły do Kościoła katolickiego.

Naród nasz polski dopiero w X. wieku przyjął chrześcijaństwo.

Od kilku wieków cała Europa już jest chrześcijańską. Celem i usiłowaniem ludów europejskich było oddawna, ażeby Ewangelię głosić także ludom pogańskim, które żyją w Azyi, w Afryce, w Australii i Ameryce. Nawracaniem pogan zajmuje się nieustannie Kościół katolicki, który wysyła co roku tysiące misyonarzy do rozmaitych krajów pogańskich. A Kościół katolicki czeka jeszcze olbrzymia praca.

Katolików jest na świecie około trzysta milionów.

Chrześcijan, którzy oderwali się od Kościoła katolickiego liczymy: schyzmatyków (wyznania grecko-wschodniego) w Rosyi, na Bałkanach i na Wschodzie około 100 milionów. — Wyznanie protestanckie czyli ewangelickie liczy około 150 milionów głów w Niemczech, w Anglii, w Danii, w Szwecyi, na Węgrzech, w Ameryce i w innych krajach.

Kościół katolicki czeka więc olbrzymie zadanie, ażeby i schyzmatyków i heretyków pozyskał nanowo — ażeby się stała jedna owczarnia i jeden pasterz.

Żydów jest na świecie około 12 milionów. Reszta ludzkości pogrążona jest jeszcze w pogaństwie. I tak Buddaizm liczy około 550 milionów wyznawców, zamieszkujących przeważnie Zachodnie Indye, Tybet, Chiny, Japonię, Koreę i Mongolię. — Pokrewny z religią buddaistyczną jest braminizm, liczący około 150 milionów wyznawców. Siedzibą braminizmu są Indye.

Nadto religia Mahometa — mieszanina religii chrześcijańkiej i żydowskiej — liczy ogółem około 200 milionów wyznawców.

Jak z tego przedstawienia widać Kościół katolicki czeka wielka praca, ażeby te miliony ludów pozyskać dla Chrystusa. Corocznie w święto Trzech Króli zbiera się dlatego składkę na rozszerzanie wiary.

Do tego czasu katolikom na Wschodzie użyczała opieki głównie Francya, chociaż w ostatnim czasie dziwnie wyglądał ten protektorat, gdy sama Francya stała się bezbożną i masońską. Wielka wojna sprowadziła na świecie powszechne zamieszanie i dlatego misye katolickie doznały ogromnego utrudnienia i znalazły się prawie w krytycznem położeniu.

Prośmy więc gorąco Boga, ażeby ludy europejskie, które popadły w herezyę i odszczepieństwo, wróciły do Kościoła katolickiego i ażeby Europa wzmocniona wiarą katolicką i zjednoczona pod jednym pasterzem Papieżem, zabrała się do wielkiej pracy nawracania ludów pogańskich. Daj Boże, ażeby ludy europejskie zaprzestały corychlej krwawych walk między sobą i ażeby niosły prawdziwą oświatę i cywilizacyę chrześcijańską do wszystkich części świata.

Pewne pomyślne objawy z powodu wojny światowej.

Pod grozą wielkiej wojny rozpoczyna się nowy rok Pański 1916. Ktoby był przypuszczał, że wojna tak długo potrwa. Ludzie myśleli, że wojna trwać będzie kilka tygodni, najwyżej kilka miesięcy, a tu tymczasem wojna przetrwała kilka końcowych miesięcy (począwszy od początku sierpnia) 1914 roku, ciągnęła się przez cały rok 1915, a i nowy rok 1916 wojną się rozpoczyna.

Ludy Europy wiele wycierpiały dotąd z powodu wojny. Wiele też ucierpiał naród nasz polski. Ojczyzna nasza zroszona obficie krwią, wiele okolic zupełnie zniszczonych i spustoszonych, setki tysięcy naszych rodaków tuła się dzisiaj po niezmierzonych obszarach Rosyi.

Ale pomimo te wszystkie nieszczęścia wojna przyniosła pewne korzyści moralne. Oto sprowadziła powszechną biedę, a temsamem ukróciła gorączkowe ubieganie się za zabawami i użyciem świata, co znamionowało ludzkość przed wojną. — Poznali też ludzie, że cała nowoczesna cywilizacya nie uszczęśliwi ludzkości, choć wszyscy o tem mówili i pisali. Cywilizacya bez Chrystusa i bez Ewangelii prowadzi ludzkość na manowce i do zguby. Strasznym a silnym dowodem na to jest właśnie obecna wojna. Dumna ludzkość musi się ukorzyć i wrócić napowrót do Chrystusa. Tylko nauka Boskiego Zbawiciela o powszechnej miłości bliźniego potrafi załagodzić spory, wybuchające między narodami i zaprowadzić na świecie powszechne królestwo Boże. Żadne najmodniejsze doktryny i hasła nie potrafią tego uczynić. A przecież niemi bałamuciła się ludzkość. Teraz pozna, że oddawała się złudzeniom.

Wzrosło też nanowo w sercach i duszach ludzkich poczucie Majestatu Bożego. Wszyscy poznają, że przeliczyli się. Bóg swoją prawicą Bożą dziwnie kierował dotychczas losami wojny i do końca według swojej woli kierował będzie.

Głos Namiestnika Chrystusowego rozbrzmiał potężnie po całym świecie. Panujący i wszystkie ludy uznały w Papieżu naturalnego Ojca chrześcijaństwa i skłoniły przed Nim głowy. Te czasy okropne przybliżyły może spełnienie się proroctwa Chrystusa Pana, że „stanie się jeden pasterz i jedna owczarnia“.

Wprawdzie Polska ucierpiała strasznie podczas tej wojny, ale mimo to wiele rzeczy nas pociesza. Przedewszystkiem ujął się za nami Ojciec św. Benedykt XV. i sprawę naszą przypomniał całemu światu. Z końcem miesiąca listopada 1915 roku odbyły się modlitwy za Polskę po całym świecie. O Polsce i Polakach mówią dzisiaj we wszystkich krajach. Zewsząd płyną też do nas ofiary i składki na naprawienie szkód wyrządzonych nam przez wojnę. Jest więc nadzieja, że przy pomocy Bożej i przy pomocy dobrych ludzi zdołamy odbudować spustoszoną Polskę.

Jak więc widzimy, Bóg ma we wszystkiem swoje najświętsze i najmędrsze zamiary i plany, które zawsze przeprowadza. Z otuchą więc i ufnością wstępujmy w bramy nowego 1916 roku i bądźmy przekonani, że we wszystkiem wypełni się ściśle wola Boża!

Czuwajmy więc i módlmy się, bo może w tym roku powoła Bóg nasz naród do spełnienia wielkich zadań, które mu przeznaczył od wieków.

„Jaką miarką mierzysz, taką ci odmierzą".

Ciekawa rozprawa toczyła się niedawno przed sądem w Poznaniu.

Pewien tamtejszy piekarz kupował od dłuższego czasu masło u jednego z podmiejskich gospodarzy; kupował je zawsze w trzechfuntowych kawałkach.

Kupionego masła nigdy nie ważył; ufał bowiem rzetelności dostawcy. Pewnego jednak razu zważył nabyte masło i ku swemu wielkiemu zdziwieniu przekonał się, że ważyło ono znacznie mniej, aniżeli trzy funty. Odtąd stale ważył masło; zawsze jednak do trzech funtów dużo brakowało. Po pewnym czasie, chcąc położyć kres nadużyciom, a zarazem odzyskać poniesioną stratę, zaskarżył gospodarza do sądu.

Gdy w oznaczonym czasie obie strony stanęły przed sądem, zapytał sędzia rolnika:

— Masz pan wagę w domu?

— Mam, panie sędzio! — brzmiała spokojna odpowiedź.

— A ciężarki?

— Nie! Ciężarków nie mam!

— W jaki więc sposób ważysz pan masło?

— Bardzo prostym sposobem; — objaśnił rolnik — odkąd piekarz kupuje u mnie masło, odtąd ja biorę od niego chleb, zawsze w trzechfuntowych bochenkach. Gdy mam mu dostarczyć masła, kładę na jedną stronę wagi chleb, kupiony u niego, na drugą zaś odpowiednią ilość masła. Jeżeli zatem kawałki masła ważą mniej, aniżeli trzy funty, to nie ja jestem winien, ale piekarz!

Wobec tego sąd uwolnił rolnika zupełnie; koszta zaś procesu nałożył na piekarza, zastrzegając sobie nadto prawo ścigania go za oszustwo.

Eucharystyczny więzień.

Dla naszych żołnierzy w polu.

U starożytnych żydów przechowywało się piękne podanie. Wedle owego podania, Pan Bóg, stworzywszy świat, zapytał aniołów, co sądzą o dziele rąk Jego. Odpowiedzieli: „Dzieło to wielkie i doskonałe; nie dostaje mu jednak jednej rzeczy. Światu brak tak wspaniałego głosu, którymby mógł godnie Bogu śpiewać wieczną pieśń dziękczynienia".

Zapewne. Po stworzeniu wszechświata, o którym Bóg orzekł, iż „wszystko było dobre" należała się Stwórcy wielka pieśń dziękczynienia. Zabrzmieć nią powinno wszelkie stworzenie.

Wnet jednak ta pieśń zamilknąćby musiała. Po rychłym upadku człowieka, króla świata, zdałoby się raczej całej ziemi załkać pieśnią pokuty: „Przed oczy Twoje Panie, winy nasze składamy".

Ale małoby było tej pokutnej pieśni. Obrażonemu Bogu trzeba było pełnego zadość uczynienia. A ludzkość nie stać było na taką ofiarę.

Spełniła się jednak ta ofiara. Zgorzał nią na drzewie Krzyża Syn Boży.

Przebłagał Jezus Swą męką i śmiercią Sprawiedliwość Bożą i grzesznych synów ziemi z Bogiem, Ojcem na niebie, pojednał.

W krzyżowej Ofierze jednak nie ustał. Płonie nią wiecznie w Najświętszym Sakramencie. Ukryty w nikłej postaci chleba, z dnia na dzień we Mszy św. kalwaryjską ofiarę powtarza, a z cichego schowka na ołtarzu dzień i noc zanosi z tej grzesznej ziemi przed tron Sprawiedliwego Boga wieczne: „Przed oczy Twoje Panie".

Jezusowa Ofiara, na Górze oliwnej, w dniu pojmania poczęta, wiecznie trwa.

A jako wtedy ujęli Go złoczyńcy w swe świętokradzkie ręce i po przewrotnych sędziach włóczyli, bili, poniewierali, więzili; a On im ulegał i szedł cichy, „jako owca na zabicie", tak i dziś Jezus eucharystyczny cierpi więzienie i poniewierkę w rękach świętokradzców.

Dziewięć set lat blisko więżą świętokradzko Jezusa eucharystycznego schizmatycy.

Jezus Chrystus, zakładając Kościół św., który miał dalej prowadzić Jego dzieło Odkupienia, oddał w szafarstwo tego Kościoła Sakramenta św., źródła łaski bożej, ku oczyszczaniu i uświęcaniu dusz ludzkich, ustanowione. Szafarzami Sakramentów są kapłani. Moc Sakramentu jednak w samym sakramencie się zawie-

ra. Ważność jego nie zależy tedy bynajmniej od godności szafarza-kapłana. Choćby największy zbrodzień, na kapłana wyświęcony, ważnieby chrzcił, rozgrzeszał, chleb w Ciało Pańskie przemieniał i t. p.

„Czy chrzci Piotr, czy Paweł, czy Judasz, zawsze chrzci przez nich Chrystus — mówi św. Augustyn. — Nie chrzczono powtórnie tych, których ochrzcił Judasz, ale chrzczono wszystkich, których ochrzcił Jan w Jordanie. Chrzest bowiem, udzielony przez Judasza, był chrztem Chrystusowym, a chrzest Jana był tylko Janowym“.

Skuteczność Sakramentu nie zawisła zatem od cnoty i świątobliwości kapłana.

Prócz chrztu św., którego w nagłej potrzebie każdy człowiek udzielić może i sakramentu małżeństwa, które jako sakrament, sami nowożeńcy sprawują, a kapłan ich związek jeno błogosławi, — ważność wszystkich innych sakramentów zależną jest tylko od tego, czy ten, co ich udziela, jest rzeczywiście kapłanem.

A schizmatycy mają rzeczywistych kapłanów.

Michał Cerularyusz, patryarcha carogrodzki i Leon Achryda, patryarcha bułgarski, którzy w r. 1054. spowodowali oderwanie się całego Wschodu od jedności z Kościołem katolickim, byli rzeczywistymi biskupami. Rzeczywistych też biskupów i kapłanów miały wówczas owe patryarchaty, które za ich przykładem poszły.

Pomimo odszczepieństwa i klątwy, jaka za nie na tych biskupów od papieża spadła, nie postradali oni jednak władzy kapłańskiej, która z mocy Sakramentu, na zawsze w człowieku zostaje.

Aczkolwiek niegodnie, jako odszczepieńcy i wyklęci, jednak ważnie, jako rzeczywiści kapłani mogli oni udzielać sakramentów św., a jako biskupi, ważnie święcili kapłanów i swych następców, biskupów. Dlatego też u schizmatyków trwa po dziś dzień kapłaństwo Chrystusowe; a choć ono znieważone, ale ważne.

Schizmatycy kapłani po dziś dzień sprawują bezkrwawą ofiarę, przemieniając ważnie chleb w Ciało, a wino w krew Chrystusową.

Dlatego też w schizmatyckich cerkwiach Rosyan, Rumunów, Bułgarów, Serbów, Greków i t. p. Jezus eucharystyczny w postaciach chleba i wina rzeczywiście przebywa.

Eucharystyczny więzień! Jak Go ongiś więzili jerozolimscy świętokradzcy — tak i dziś Go więżą. A On, acz Bóg wszechmocny, cierpi i milczy... Milczy, bo w Eucharystyi składa Bogu wieczystą Ofiarę. Dlatego też taką poniewierkę cierpi.

Według przepisów Kościoła katolickiego schizmatyckiej Eucharystyi należy się od katolików „cześć cicha“. Nie należy więc ni klękać, ni składać pokłonów, ani się żegnać — ale cichą modlitwą w sercu uczcić Boskiego więźnia. Wszystkie bowiem owe jawne oznaki czci, byłyby wyrazem łączenia się z odszczepieńcami w ich świętokradzkiem nabożeństwie.

Pożałuj więc szczerze pobożny żołnierzu, biednego Jezusa, gdy Go w jakiej cerkwi na moskiewskiej, czy serbskiej ziemi napotkasz! Pozdrów Go cicho, a serdecznie, jak Go pozdrowiła Jego Matka na ulicy w Jeruzalem, gdy Go świętokradzcy na śmierć krzyżową wlekli!

O. Ludwik de Ponte.

Kiedy r. 1585 wielki sługa Boży Ludwik de Ponte T. J. został rektorem w Willagarcia, rozkazał, aby nigdy nie odmawiano jałmużny ubogim, którzy przychodzili do dwu furt klasztornych. W czasie nieurodzaju zawołał brata ekonoma, i zapytał go, ile ma zboża w zapasie. Odpowiedział ekonom, że zapasy ledwie dla domowników wystarczą.

— Nie byłoby rozumną rzeczą — odrzekł święty mąż, nie wspierać ubogich w tak trudnych czasach. Trzeba pomnożyć jałmużny, bo potrzeby są większe; niech pieką więcej chleba, jak dotychczas i niech dają tym, co będą prosili.

Rozkaz wiernie spełniono; rozdawano chleb wszystkim ubogim, którzy tłumnie przychodzili do furty, przez cały rok; a mimo hojności, nie tylko domownikom na niczem nie zbywało, ale nawet na końcu roku dobry zapas zboża znalazł się w spichlerzu. To rozmnożenie zboża ogólnie przypisywano miłości i ufności w Bogu pobożnego rektora.

Nie uciekajmy przed cierpieniami!

Nie ulega wątpliwości, że naród polski dźwiga teraz ciężki krzyż. Włożyła go na barki naszego narodu okrutna wojna. W jednym roku spotkało nas bez liku nieszczęść i klęsk! Ciężkie czasy przeżywa nasz naród.

Ale nie powinniśmy się temu dziwić! Jak pojedynczych ludzi, tak też całe narody doświadcza nieraz Pan Bóg ciężkimi krzyżami. Przez cierpienia uświęca Bóg tak ludzi pojedynczych, jak całe narody! Ale dzieje się to tylko wtenczas, kiedy ochotnie znoszą cierpienia.

Myli się więc ten, kto myśli, że krzyże są tylko karą za grzechy! Wcale nie! Cierpienia uświęcają nas i zbliżają do Boga. Nadto mamy sposobność do zbierania zasług.

W dawnych wiekach doświadczał Pan Bóg nasz naród wielkiemi cierpieniami i krzyżami. Wszak co kilka lat pustoszyli ziemie polskie, to Tatarzy, to Turcy, to Szwedzi, to Moskale to inni najeźdźcy. I dziwna rzecz: Naród polski zachował większą wiarę i pobożność, aniżeli inne narody, którym się lepiej działo!

I teraz wojna sprowadziła na nas ciężkie krzyże i cierpienia! Niema domu bez smutków

i cierpień! Pan Bóg ma swoje wielkie i święte zamiary, gdy na nas to wszystko zsyła!

Idzie tylko o to, ażebyśmy z ochotą dźwigali krzyż, który Pan Bóg wkłada na nasze barki. Przykładem niech będzie dla nas Pan Jezus, który dźwigał ciężki krzyż i Matka Bolesna, która stała pod krzyżem. Przykładem niech nam także będą święci Pańscy: Święty Jędrzej na widok krzyża, na którym miał zawisnąć zawołał: „O dobry krzyżu, któryś ozdoby z członków Pańskich nabył, długo Cię pragnąłem, tęskliwie cię miłowałem, bez przestanku cię szukałem; kiedy wreszcie pragnącemu sercu zgotowany jesteś; zabierz mnie od ludzi, a oddaj mnie Mistrzowi memu, aby mię przez ciebie przyjął, który mię przez ciebie odkupił". Św. Franciszek Seraficki smucił się, jeżeli mu jakiś dzień upłynął bez cierpienia, i wtedy mówił, że chyba Bóg o nim zapomniał, tj. że chyba ma mniej łaski u Boga. — Św. Franciszek Ksawery w cierpieniu zwykł był się modlić: „Panie, albo cierpieć albo umrzeć!" — A święta Marya Magdalena wołała: :„Panie, cierpieć, nie umrzeć"! Po świętych niech mi będzie wolno przytoczyć śp. Piusa IX., który dziwnie ochoczo znosił cierpienia. Trapiony (prócz innych krzyżów, które mu zjednały miano: Crux de cruce) w starości dotkliwym bólem reumatycznym w nogach, z takiem weselem ból ten znosił, że ze zwykłym sobie humorem i dowcipem mawiał: „Bole, jakich doznaję, czynią ze mnie w sędziwym wieku astronoma, od bólu bowiem widzę gwiazdy na niebie w południe.

Znośmy więc i my krzyże nasze bez szemrania, zgadzając się z wolą Bożą, ochoczo. Wolno nam w cierpieniu modlić się, by nam Bóg ulżył, ale szemrać przciw Bogu nie wolno.

Hydra pijaństwa podnosi znowu głowę.

Aż nadto wiele mówi się teraz i pisze na ten temat, że wojna jest straszną karą Bożą. I rzeczywiście, kto umie patrzyć na świat, kto widzi te potoki krwi ludzkiej, płynącej na polach bitew, kto widzi tysiące poległych i rannych, kto widzi tyle spalonych miast i wsi, kto widzi tyle rodzin zasmuconych i tyle, naokoło biedy i nędzy, ten musi przyznać, że wojna jest wielkiem nieszczęściem i strasznem dopuszczeniem Bożem. Myślałbyś, że ludzie wśród tych nieszczęść całem sercem zwrócą się do Boga i w popiele i poście czynić będą surową pokutę. Bo nawet przysłowie powiada: „Jak trwoga, to do Boga".

Niestety, tak nie jest! Zewsząd dochodzą nas narzekania, że w naszym kraju, a zwłaszcza w zachodniej Galicyi panuje pomiędzy ludem pijaństwo. Co gorsza, skarżą się rozumniejsi ludzie, że upijają się nawet kobiety i przepijają zapomogi wojskowe.

Gdy to wszystko słyszymy, to naprawdę krew ścina się w żyłach, włosy stają na głowie! Wprawia nas to w prawdziwe osłupienie i rozpacz! Wprost wierzyć się nie chce, żeby to było możliwe, żeby teraz ludzie Boga obrażali pijaństwem! To w powiatach wschodniej Galicyi ludzie umierają na tyfus głodowy, to w Warszawie ludzie umierają z głodu, tyle już wołania o pomoc, bo bieda, bo nędza, a tu wielu ludzi po naszych wioskach i miastach przepija pieniądze!?... Tacy ludzie, co się upijają jeszcze teraz, to prawdziwe wyrzutki społeczeństwa! Oni swoimi grzechami sprawiają, że gniew Boży nie ustaje ponad narodami! Naprawdę, że brakuje nam słów, ażeby należycie napiętnować takie postępowanie!

Słyszeliście nieraz, drodzy czytelnicy, na kazaniach, że pijacy wpadają w zaślepienie, że trudno spodziewać się, żeby mogli być zbawionymi!... To zaślepienie tych niepoprawnych ludzi teraz się rzeczywiście pokazuje! Nawet te wszystkie nieszczęścia wojenne nie otworzyły im oczu, nie przyprowadziły ich do upamiętania! Co ich może nawrócić?!...

Cieszyliśmy się, że zakaz sprzedawania trunków palonych, wydany niedawno przez c. k. Namiestnictwo, zatamuje pijaństwo! Ale niestety i to nie pomogło! pijak na wszystko znajdzie sposób. Bo jak się dowiadujemy, gdy teraz nie tak łatwo przesiadywać w karczmie i upijać się, to zato *wielu zaczyna sprowadzać sobie trunki do domów i tam się upijać!* — Ale, dla Boga, to nie powinno być cierpiane! Zaklinamy was, światlejsi i lepsi ludzie, wystąpcie do bezwzględnej walki przeciwko temu, potępienia godnemu zwyczajowi.

Jeżeli ktoś posiada pieniądze, niechże je da na odbudowę zniszczonych kościołów, miast i wsi, niechże je da na ubogich i sieroty, ale niech ich nie przepija!

Drugą przyczyną, że pijaństwo (pomimo zakazu sprzedawania gorących trunków) nie ustaje, jest *brak poszanowania ustaw w naszem społeczeństwie.* To dawna nasza narodowa wada. I najlepsze ustawy i prawa nie pomogą, jeżeli ludzie nie przypilnują ich wykonania. Tak samo dzieje się i teraz z pijaństwem! Jest ustawa, że nie wolno sprzedawać trunków upajających, ale czy się ją wykonuje? — Przedewszystkiem powinni jej przestrzegać szynkarze, ale oni znają sposoby, jak ją obejść i zło dalej się szerzy.

Trzeba się wziąć do przypilnowania tej ustawy. Powołane władze, tj. policya, żandarmerya, starostwa powinny czuwać nad jej wykonaniem! A tak samo powinno na tem zależeć wszystkim mądrym ludziom. Gdy więc widzicie — drodzy Czytelnicy — że szynkarze wbrew zakazowi sprzedają wódkę, że ludzi rozpijają, to powinniście o tem donieść i zawiadomić żandarmeryę i Starostwo, ażeby winni byli ukarani. Ta droga doprowadzi do

celu! Gdy szynkarz zapłaci grzywnę, gdy jednemu i drugiemu szynk zamkną, to potem nauczą się szanować ustawy i prawa.

Mniej szynków, a więcej szkół i czytelni! Mniej pijaństwa, a więcej oświaty, a wtenczas nastanie lepszy dobrobyt w naszej ojczyźnie. Trzeba nam więc posiadać więcej odwagi i tężyzny moralnej. Nie tylko więc narzekajmy na pijaństwo, lecz zabierzmy się naprawdę do stanowczej i nieubłaganej walki z pijaństwem.

Zaraza.

Noc była ciemna. — Nie było widać żadnej gwazdki na chmurami pokrytem niebie. Przez posępny szum starego parku leciała ponura pieśń wichru. Nie miała ona w sobie melodyi i jasnych nocy księżycowych, nie było w niej rozmarzenia miesiąca. Wiatr szumiał dziwnie smętnie, rzekłbyś, że wygwarza tajemnicze skargi natury. A może tak przejął się smutkiem mieszkańców wsi, może współczuł z nimi.

We wsi biją dzwony, dlaczego one biją? Dlaczego tak żałośnie rozlega się melodya, tak do głębi wzruszająco? Chaty stoją otworem, a z nich wybiegają wieśniacy i wieśniaczki z trwogą śmierci na twarzy. Sen ich nie otuli swem serdecznem tchnieniem, bo spokój nie mieszka w ich sercach. A dzwony biją, jakiemś wnikającem do głębi duszy jęczeniem.

Straszna, okropna noc... Ludzie rzucają się na ziemię i krzyk błagalny wyrywa się z ich piersi: „Hospod Boh pomyłuj nas!“

Jęki dzwonów, jęki ludzi, jęki wichru spajają się w potężny, straszliwy hymn, który biegnie na okryte chmurami niebo. Cisza nagle zapadła, tylko jeszcze wiatr pochylał drzew wierzchołki. I zdawało się, że w powietrzu brzmi głos pomarłych na zarazę, zdawało się, że płyną ich przygłuszone słowa: „Chodźcie za nami, nam tu tak tęskno!“ A z dołu dolatywały wołania dopiero co pomarłych: „Idziemy do was“.

Znowu zadźwięczały dzwony jękiem śmierci, a na nie znowu odpowiedział jęk serc ludzkich. Podniósł się tętniąc ogromną trwogą przed śmiercią i spłynął wśród mroków... A śmierć szła i szła niestrudzona, mściwa, straszna. Brała nowe i coraz nowe ofiary, a dzwony huczały, a serca jęczały: „Hospod Boh pomyłuj nas, pomyłuj nas!“ Drzewa w parku ucichły, jakby trwoga je zdjęła. Dwór dziwnie posmutniał... Zapalono latarnię przed domem, a ona rzucała mdławy blask dokoła. W ciszy pogrążone drzewa malowały swe postacie na białych ścianach domu olbrzymie i jakieś złowieszcze.

We dworze właśnie skonała dziewczynka.

Leży wśród ciszy nocnej zimna, martwa. Nie przebudzi ją już wietrzyk wiośniany, ni słońca promienie nie rozleją się po wesołej twarzyczce dziecka. Nie przytuli jej już matka do piersi i nie rozgrzeje swem tchnieniem zimna śmierci. Ona nawet nie wie, że jej matka nie żyje, bo ona w innym pokoju sama walczy ze śmiercią. I rodzeństwo też nie wie, że ona umarła, bo wszyscy złożeni są niemocą strasznej zarazy. Dokoła płoną świece i łagodnem światłem zalewają pokój.

Nad śpiącem snem wiecznym dzieciakiem czuwa tylko łza ojca, który jeden z całej rodziny nie uległ zarazie. Stoi nad trumienką pełen bolu i wpatruje się w zagasłe oczy dziewczynki tak ogromnie smutno, jakby tym smutkiem głębokim chcial ją zbudzić z martwych.

Podniósł się i podszedł do okna, wzrok zwrócił ku niebu bez gwiazd i bez miesiąca. Lecz w tej chwili jasna gwiazdka przebiła chmury i wypłynęła na niebo. I zdało się biednemu ojcu, że to dusza jego dziecka wyszła, by go pocieszyć. Przyszły mu na myśl słowa Chrystusa: „Nie umarła dzieweczka, jeno śpi“ — a usta jego wyszeptały: „prawda, że ty nie umarłaś, ty tam żyjesz na błękitnem niebie i myślisz o nas, ty wyprosisz u Boga zdrowie dla mamusi, braciszków, siostrzyczki, dla wszystkich“. I zdało mu się, że gwiazdka jaśniejszem zapłonęła światłem. W tej chwili drzewa zaszumiały, a serce ojca usłyszało jej słowa: „Jestem z wami“. Otucha wstąpiła weń, a gwiazdka stała nad smutnym dworkiem, jak anioł opiekuńczy, jak symbol nadziei... Pocałował zimne czoło córki i wyszedł do parku — może, aby porozmawiać z gwiazdką mrugającą na niebiosach; jakiś głos pogodny szeptał w nim, że córeczka jego będzie duchem opiekuńczym, który dla nich u Boga szczęście wyprosi.

Cicho schodzą się ludzie na pogrzeb i ciche modły płyną. Nie pocałuje ją mamusia na ostatnią podróż, tylko ojciec przycisnął gorączkowo usta do martwego czoła i złożył na niem ostatni pocałunek. Zabito trumienkę i ruszono z nią na cmentarz.

Nim orszak przybył na cmentarz mrok zaczął zapadać i gwiazdy napływać na niebo. Ojciec szedł tuż za trumną. Spojrzał w niebiosa i ujrzał tę gwazdkę, co wczoraj. Dzwony cmentarza nucą pieśń pogrzebową, ale jemu serce mówi, że one ostatni mu raz nutą żałobną gwarzą, bo nad nim gwiazdka nadziei, bo przy nim dusza najmłodszego dziecka, która mówi mu: „Tatusiu nie będziesz już więcej łez ronił, ja ostatnia“.

Wsunięto trumnę do mogiły, i on wrócił do domu. **K. W.**

Do wiadomości społeczeństwu polskiemu i przemysłowi polskiemu.

Z powodu artykułów umieszczonych w ostatnich czasach w prasie krakowskiej zgłosiło się przeszło kilkuset młodzieńców do pracy w przemyśle, co liczbowo i zawodowo tak się przedstawia: Do zawodu krawieckiego 17, szewskiego 13, stolarskiego 26, rzeźbiarsko-drzewnego

1, stelmacho-kołodziejskiego 2, malarskiego 2, piekarskiego 2, cukierniczego 1, tapicerskiego 2, kominiarskiego 1 garncarskiego 1, masarskiego 4, rzeźniczego 1, kowalskiego 4, bronzowniczego 1, blacharskiego 1, na szofera 1, na elektromonterów 14, mechaników 13, tokarza metalowego 1, ślusarskiego 82, bez podania zawodu zgłosiło się przeszło 163, do handlu 4.

Liczba ta w krótkim czasie zgłoszonych jest wielka i codziennie listy nadchodzą z prośbą o umieszczenie synów w przemyśle polskim. Liczne te listy są przechowane w Sekretaryacie Związku. W każdej chwili można je zużytkować, okazuje się z nich to, na cośmy już nieraz zwracali uwagę społeczeństwu tj. że źródłem wychodźtwa do Ameryki, do Niemiec, do Czech itd. i zalanie obcymi przemysłu polskiego, jest brak zajęcia się przyszłem stanowiskiem młodzieży wiejskiej i miejskiej. Stwierdzają to rodzice lub opiekunowie w tych listach: „Mam dwanaścioro dzieci, mam dziewięcioro itd“ lub „tak bardzobym pragnął synom dać do rąk kawałek chleba, ale nie wiem, jak się zabrać“ lub „jestem komornikiem, nie mam gruntu“, „tak bardzobym chciał synów wykształcić na dobrych rzemieślników, by nie potrzebowali poniewierać się po świecie, ale tu u siebie mieli kawałek chleba“ itp.

Sama młodzież wprasza się do przemysłu polskiego: „nas kilku młodzieńców zamieszkałych w W. powiat Biała. Uprasza świetny zarząd, czy moglibyśmy być przyjęci do bursy, bo chętnie wstąpilibyśmy do przemysłu polskiego“ lub „jestem zdrowym, dobrze się uczę, tak chętniebym został rzemieślnikiem, proszę wielce o przyjęcie“ itp. Czytając te listy, ogarnia wzruszenie i żal, że tylu synów polskich marnieje, li tylko dlatego, że niema kto się nimi zająć. Przy przeglądaniu listów, jeszcze inna uwaga się nasuwa. Przytaczam dosłownie wyjątek z listu, jakich mamy wiele. „Zwracamy się z prośbą do Księdza Dobrodzieja o poradę i wyjaśnienie. Życzymy sobie oddać syna do terminu jakiego uczciwego majstra, ażeby kiedyś mógł uczciwie pracować dla siebie i dla społeczeństwa. Prosimy więc o podanie warunków o ile można najlżejszych, gdyż mamy dzieci siedmioro a każdemu chcemy dać chleb do ręki, bo majątku dla nich nie mamy. Syn ma lat 14. Jest zdrowy i sprytny. Nauczyciele radzili nam, wyższe szkoły, ale nas na to nie stać itd“. Inni znowu piszą: „Jestem spalony, zniszczony wojną, lub wszystko mi zabrano, dopomóżcie i ratujcie mi synów moich, bo teraz i na zarobek nie można ich posłać w obce kraje itd“.

Listy te udawadniają, że ludność wiejska ma wielu synów i chce chętnie oddać do przemysłu polskiego, ale niema za co ich kształcić. Jest się wobec tego rozpaczliwego wołania wprost bezradnym w tych czasach. Majstrowie krakowscy z powodu zastoju w pracy, sami podupadli. Na swój całkowity koszt po większej części, zwłaszcza do ślusarstwa nie chcą i nie mogą przyjąć chłopców zwłaszcza wobec niepewnych czasów i szalonej drożyzny. Zarząd bursy Andrzeja Potockiego i Związek Katolickich Uczniów rękodzielniczych też nie może wziąć na siebie utrzymania tylu chłopców. Dziś bowiem subwencye państwowe i krajowe ustały. Zasiłki publiczne skierowane są w inne strony: na Legiony, sieroty, na wdowy, inwalidów, ofiary wojny.

Stajemy więc wobec nader ważnego pytania: czy dla dobra społeczeństwa i zdrowej i potężnej przyszłości narodu i podniesienia przemysłu polskiego nie powinnoby się zająć i dopomódz tejże młodzieży? Dać jej samej do rąk kawałek chleba, odpowiednie stanowisko, a przez to w kraju przerwać niezdrowe wychodźtwo, zapełnić w Polsce przemysł i handel swoimi, społeczeństwu Polskiemu przysporzyć zdrowych, dzielnych i pożytecznych obywateli. Czy wobec tych stosów listów błagalnych a wielu z nich łzami przesiąkniętych o umieszczenie synów w przemyśle polskim, nie powinnyby się znaleźć fundusze na ratowanie i wychowanie tylu młodzieńców zdrowych, zdolnych i rwących się do pracy? To obowiązek bezwzględnie święty narodu i kraju i całego społeczeństwa polskiego.

W jaki sposób to wypełnić. — Najpierw gmina miasta Krakowa, która zwłaszcza w ostatnich czasach nie tylko życzliwie, ale skutecznie pomagała tejże młodzieży. Niechże i teraz przyjdzie w pomoc z wydatną subwencyą i rozszerzy lokal w bursie Andrzeja Potockiego. Następnie Wydział Krajowy, pomimo ciężkich czasów, niech również zajmie się tą sprawą i wydatniejsze w tym celu wyznaczy subwencye. Również instytucye finansowe, jak kasy powiatowe i miejskie itp. W tym kierunku swemi subwencyami niech pomogą, rozumiejąc, że to w interesie przyszłych bogactw wsi i miast, a temsamem i ich instytucyi finansowych. Niech i osoby prywatne, miłosierne i kochające lepszą przyszłość narodu, swe serce i pieniądze i część majątku zwrócą w tę stronę na ratowanie i wychowanie młodzieży.

Przy tej sposobności Związek ogłasza, że dla tych spraw otwarty Sekretaryat na ul. Krupniczej 29. Codziennie z wyjątkiem niedzieli i świąt od godziny 11 do 1 po południu i od 7 do 8 wieczorem. PP. Majstrowie i inni pracodawcy tamże mogą się zgłosić po chłopców, gdzie lista zgłoszonych codziennie jest wystawiona. Uprasza się tylko przychodzić z gotowymi warunkami przyjęcia. Także rodzice i opiekunowie itd. mogą tamże zgłaszać młodzież do terminu. Nadto w tym celu po informacye można się zwracać listownie do Sekretaryatu ul. Krupnicza 29. lub do Prezesa Związku pod adresem: X. Mieczysław Kuznowicz T. J. Kraków Mały Rynek 8.

Zwalczaj złe a popieraj katolickie gazety!

Dzisiejszemu naszemu społeczeństwu grozi niebezpieczeństwo ogólnego zatrucia ze strony złych gazet i to zatrucia powolnego, a nieuchronnego — zatrucia umysłu, serca i woli; zatrucia tak prywatnego jak socyalnego życia!

Do rzędu takich książek i gazet zaliczyć należy te, które sprzeciwiają się nauce Kościoła, lub też podają w wątpliwość lub ośmieszają, które przeczą przykazaniom Boskim, uważając za godziwe uczynki przez nie wzbronione (np. samobójstwa, pojedynki, nieobyczajność, wiarołomstwo, zabobony); te, które odmawiają władzom kościelnym powagi, lub burzą porządek państwa, pobudzając do niesnasek i buntów; które wreszcie w jakikolwiek sposób do złego namawiają lub pobudzają.

Tymczasem uporczywie utrzymuje się błędne mniemanie, że czytanie i rozszerzanie takich pism może się odbywać bez szkody dla duszy i bez obawy grzechu, że można z tem spokojnie stanąć w godzinę śmierci przed tronem Boskiego Sędziego. Obłęd ten jest powszechny! Takie bowiem pisma znajdują się w rękach niemal wszystkich i nikt się o to nie troszczy. Obłęd to zabójczy, bo sączy truciznę w życie ludzkiego społeczeństwa i rozkłada je. Obłęd zwodniczy, gdyż wszyscy, tak pisarze, jak czytelnicy łudzą się, że w ten sposób dążą do szlachetnego zdobywania wiedzy i kultury że przyswajają sobie dorobek duchowy chwili obecnej, lub oddają się niewinnej a rozweselającej rozrywce. Obłęd taki wreszcie jest usidlający i pociągający. Niechże się jedno słówko przeciw takiej prasie odezwie, już całe zastępy lekkomyślnych czytelników i czytelniczek powstają gotowe do obrony tego bożyszcza, jak żeby chodziło o naruszenie powagi całej wiedzy, literatury i sztuki. A nawet ludzie dobrze myślący zajmują nieraz nieprzychylne stanowisko wobec tej słusznej krytyki; ma się przeciw sobie autorów samych i tłómaczy, którzy z tych wydawnictw żyją, walczą zatem o ten swój chleb powszedni. Także pośrednicy i handlarze powstają przeciw temu, bo się im psuje korzystny interes. Występuje zatem cały świat, reprezentujący negacyę, który nie znosi, ażeby mu stawiać w jego kolportażu zwodniczych kłamstw i złości jakąkolwiek tamę.

A przecież sobór Trydencki wyraźnie wystąpił przeciw złym pismom i napiętnował czytanie, popieranie i rozszerzanie ich jako grzech ciężki, bez względu na jakiekolwiek zapatrywanie świata. Powody tego zakazu są jasne i płyną one z roztropnego przewidywania tych niebezpieczeństw dla charakteru i duszy, które koniecznie takie czytanie za sobą pociąga. Właściwością złej prasy jest wywoływanie przeciw wierze katolickiej i moralności rozmaitych wątpliwości, z których każda może być grzechem śmiertelnym i to wywoływanie ich z całym aparatem środków sztucznie w tym celu zastosowanych.

W tych bluźnierczych przeczeniach spotyka się kłamliwe pozory prawdy, na które czytelnik naukowo nieprzygotowany odpowiedzieć nie umie; są one wypowiedziane z mistrzostwem czarującem języka, w formie zmysłowej, zapalającej namiętność, tak, iż czytelnik przeciętny w błąd wprowadzony, niełatwo przejrzy, co się pod tą formą pociągającą niebezpiecznego i zdradliwego w samej treści ukrywa.

W obecnych czasach bardziej jeszcze może niż złe książki oddziaływują szkodliwie na czytelników niepewne i złe pisma, gazety, a zwłaszcza dzienniki. Z nich bowiem jad moralny wylewa się rytmicznie w odstępach 24-ro godzinnych po wszystkich krajach i warstwach społecznych, by krążyć w żyłach całej ludzkości. To dzieło zniszczenia dokonywa się codziennie jak długi rok, zwłaszcza tam, gdzie książki nie dosięgną, gdzie do czytania obszernych dzieł niema ani czasu, ani ochoty. wśród szerokich warstw ludowych, które im mniej są oczytane, tem mocniej wierzą w to wszystko, co im dziennik przynosi. Powieści drukowane w niektórych gazetach są po większej części jeszcze bardziej niemoralne od książkowych powieści. W politycznych artykułach, pisanych w najgorszym duchu, każda zbrodnia przeciw Kościołowi, wierze i obyczajom bywa wychwalana, a przynajmniej uniewinniana i osłabiana w opinii publicznej. Zato wszystko, co dotyczy Boga, Kościoła, obyczajów chrześcijańskich musi być przekręcone, wyśmiane, zdeptane. Potem przychodzą wiadomości dzienne. Wszystkie występki są tam szczegółowo (detailicznie) opisane, nieraz pod maską oburzenia. Morderstwa, samobójstwa, pojedynki, nieobyczajność, bywają z całem wyrafinowaniem rozłożone, a w sprawozdaniach z procesów sądowych mogą przestępcy znaleść formalny kurs przygotowawczy do przyszłych zbrodni. W takich warunkach musi zaniknąć w społeczeństwie ludzkiem wszelki wstyd uczciwy. A cóż powiedzieć o dziale inseratowym (o dziale ogłoszeń)! Jest on często najbardziej niemoralnym i podaje zachętę i ułatwienie do najgorszych występków.

Trzymać takie dzienniki bez koniecznej potrzeby, to grzech śmiertelny. Bo one ci szkodzić muszą, czy chcesz, czy nie chcesz. Choćby nie tobie, to szkodzić będą twoim dzieciom i domownikom i zatrują ci dom. A gdyby i to nie natąpiło, to pośrednio szkodzić będą przez moc złego przykładu, jaki dajesz drugim. Przypuśćmy jednak, że potra-

fisz i ten zarzut odeprzeć. Czy cię to uniewinnia? Ty płacisz za ten dziennik, zatem wspierasz swoim groszem ciężki występek systematycznego zatruwania ludzi — ty płacisz za te artykuły, które Bogu bluźnią, Chrystusa się zapierają, wyśmiewają Kościół — ty płacisz za te napaści na nieśmiertelność duszy, na istnienie Boga, na wszystko, co jest świętem. Ty przez ten grosz twój stajesz się winnym, że oszukuje się tysiące ludzi w rzeczach dotyczących wiary i wiecznego zbawienia, że Papieże, biskupi, księża i zakonnicy są spotwarzani, że wiara jest poniewieraną, a przeciwnicy jej święcą tryumfy. Stajesz się współwinnym tego, że niewinność ginie, a niemoralność coraz bardziej się szerzy, że dzienniki roznoszą wszędzie jad swoich zatrutych inseratów, że stają się nieraz szkołą zbrodni. Do tego wszystkiego ty dopomagasz przez popieranie takich pism swoim groszem.

I uważasz się jeszcze za dobrego katolika! Nie masz sobie nic do wyrzucenia? Przypomnij sobie grzechy cudze: „Dopomagać do złego, nie sprzeciwiać się złemu, do złego pobudzać“. Otóż nic chyba lepiej i pewniej nie dopomaga złemu, by wcisnęło się w serca tysięcy, jak popieranie złej prasy. Nie dałbyś pewnie ani grosza na kupienie trucizny, którąby mogła człowiekowi zaszkodzić. A oto nie wahasz się wypłacać rocznie 10, 20, 30, 50 koron na to, by dusze zatruwać, ludzi okradać z największego dobra i nic złego w tem nie znajdujesz!?...

Żaden katolik nie powinien kupować złych książek, ani trzymać złych dzienników. Niechaj kłamstwa i potwarze nie znajdują przystępu do jego domu, niechaj ich nie popiera, niechaj się przed nimi broni. Jeżeli to nastąpi będą miały dobre dzienniki pewną rękojmię rozwoju, a wtedy miasto trucizny popłynie pokarm prawdziwy w szerokie warstwy ludzkości, by nieść z sobą siłę i moc i zdrowemu duchowi zapewnić zwycięstwo.

Jednakowoż pojedyncze osoby nie podołają walce przeciwko złej prasie. Najlepiej jest łączyć się i wspólnie prowadzić tę walkę. Ten cel wytknęło sobie „Towarzystwo popierania prasy katolickiej“ w Krakowie (ul. Franciszkańska 3). Przystąpmy więc do tego Towarzystwa choćby z niewielką wkładką roczną i stojąc pod jego sztandarem zwalczajmy złe — a popierajmy katolickie gazety.

Chrześcijańska kultura a wojna.

Cała histrya ludzkości, to jakby jedna wielka wojna, tocząca się od rajskich czasów, aż po dni dzisiejsze. Odkąd bowiem, uniesiony pychą, człowiek zapragnął być „jako bogowie“ i wypowiedziawszy swe służby Bogu, siebie w miejsce Boga postawił i sobie tylko służyć począł, odtąd trwa na świecie wojna. Pragnąc bowiem być „jako bogowie“ dąży człowiek do panowania. W tem zaś dążeniu musi używać przemocy. Siłą ciała, skutecznością wojennego narzędzia i podstępem dąży człowiek do zgnębienia przeciwnika, co mu na drodze do panowania stawa. A że skażone pychą ludzkie serce wiecznie pragnie i nigdy się nie syci, stąd też wojna wiecznie na ziemi się toczy i po wieczne czasy toczyć się będzie.

Łudzą się przeto ci, co o powszechnym i trwałym pokoju marzą i w imię nowoczesnego postępu tego pokoju się domagają. By taki pokój osiągnąć trzebaby z ludzkich serc wygnać pychę i chciwość i zazdrość i przewrotność i wszystko to, co z pychy urasta i ludzkiemi sprawy na ziemi kieruje. W miejsce zaś owych namiętności wszczepić w te wszystkie serca pokorę, ducha zaparcia się, prostoty, bezwzględnej miłości bliźniego i t. p. cnoty. Na tych cnotach powinnyby rządy oprzeć swą politykę, a społeczeństwa całe życie, w najdrobniejszych jego objawach. Wtedy nie byłoby wojny.

A czyż to możliwe? Dzisiejszy duch czasu, wrogi chrześcijańskiej prawdzie, w przewrotności swojej właśnie owe namiętności pielęgnuje i pychę — poczuciem godności, chciwość — przedsiębiorczością, zazdrość — starannością, a gwałt i przemoc — walką o byt nazywa. Wobec takiego ustroju ducha świata — wojna na ziemi nigdy nie ustanie.

Dziwna rzecz jednak w tem krwawem zmaganiu się ludzkości zauważyć się daje. Oto jak z jednej strony sili się duch ludzki na to, by jak najwięcej zniszczyć, tak z drugiej znów strony pilnie zabiega, by jak najwięcej ocalić.

Chlubą dzisiejszej wojny jest n. p. „Stowarzyszenie Czerwonego Krzyża“. Oparte na międzynarodowej umowie, to Stowarzyszenie sięga swą dobroczynną ręką wszędzie tam, gdzie wojna się sroży. W świadczeniu opieki nie baczy „Czerwony Krzyż“ żali ów ranny, lub zabity — swój, czy wróg. Pod jego znakiem wszyscy mają równe prawa...

Zaiste, chlubne to dzieło dzisiejszej doby. Dziwną się jednak ta rzecz wydaje. Trudno sobie bowiem wytłómaczyć tę sprzeczność, jak człowiek, przemyślający nad zagładą wroga, może robić równocześnie starania o uratowanie okaleczałego przeciwnika. Wszak człowiek jedno ma serce. Jakżeż zatem w tem sercu miłość i nienawiść razem trwać i działać może?

Dla chrześcijanina rzecz to zupełnie jasna. Owa groza wojny, to twór ludzki — a to miłosierdzie, to twór Boży. Jezus Chrystus to miłosierdzie w sercu ludzkości zaszczepił. On, który za najwyższe przykazanie podał światu przykazanie miłości Boga i bliźniego, tę miłość bliźniego aż do miłości nieprzyjaciół posunął. Dziwił się zrazu świat temu przykazaniu. Ale je przejął i dziś tak chlubnie je spełnia. Tworzy „lazarety“, których nazwa od owego ewangielicznego nędzarza Łazarza się wywodzi, „Samarytaniny“ od owego miłosiernego Samarytanina, opatrującego pod Jerychem swego wroga i „czerwone krzyże“, jakby na dowód, że to dzieło miłości bliźniego u Chrystusowego krzyża swój początek miało.

Chlubi się tem wielkiem dziełem świat i za dorobek nowoczesnej kultury je poczytuje. Niech jednak nie przepomina, iż to dzieło kultury chrześcijańskiej, bo serce ludzkie, namiętnością skażone, bez Bożej pomocy na takie dzieło nigdyby się nie zdobyło.

Tajemnica spowiedzi.

W Dublinie, stołecznem mieście Irlandyi, wspomina ze czcią każdy imię kapłana, który już od kilku lat nie żyje. Ks. Franck — tak było jego nazwisko — znany był ze swej miłości bliźniego, ale okropny wypadek cnotę jego w najpiękniejszem wystawił świetle. Rzecz miała się jak następuje.

Popełniono w Dublinie morderstwo, a przytem rozmaite zbiegły się okoliczności, które na rodzonego brata ks. Francka, który był oficerem, rzucały podejrzenia, jakoby on to morderstwo był popełnił. Kilku świadków widziało porucznika Francka na miejscu, na którem morderstwo zostało popełnione; prócz tego znaną było rzeczą, że zamordowany żył z porucznikiem w nieprzyjaźni; nadto chciało nieszczęście, że koniec pałasza porucznika był ułamany.

Napróżno wzywał oskarżony Boga na świadka swej niewinności — nic nie pomogło; pozór przemawiał przeciwko niemu i sąd skazał go na degradacyę i karę śmierci przez powieszenie.

Cios ten okropny najboleśniej dotknął serce kapłana. Chętnie byłby sam życie swe poświęcił, aby młodszego swego brata, któremu dotychczas zastępował miejsce ojca, obronić przed hańbą i śmiercią. Ale nic nie mógł uczynić. Gdy widział, że po sprawiedliwości ludzkiej niczego się nie mógł spodziewać, użył całej swej gorliwości, aby rozpaczającego brata przynajmniej usposobić do poddania się temu losowi, który mu Pan Bóg przeznaczył, i przysposobić nieszczęśliwego na śmierć szczęśliwą.

Zwolna uspakajał się porucznik, a duma jego ukorzyła się na myśl, że i Syn Boży, najniewinniejszy pomiędzy niewinnymi, wyrokiem niesprawiedliwym na śmierć skazany został. Ale mimo to okropnie mu było, że w najpiękniejszym wieku, z najlepszemi widokami na przyszłość, niewinny jak dziecko, uważany ma być i karany jako zbrodniarz pospolity. Tem gorliwiej kapłan pobożny gorące zasyłał modły ku niebu, aby Pan Bóg nieszczęśliwemu dodał odwagi i pociechy w okropnej śmierci godzinie. W przeddzień stracenia brat klęczał właśnie przed krzyżem w swoim pokoju, gdy usłyszał niepewne kołatanie do drzwi. Do pokoju wszedł nieznajomy mężczyzna, który przekonawszy się, że nikogo więcej niema w pokoju, poprosił kapłana, aby jego wysłuchał spowiedzi.

Kapłan, zwyczajny podobnych odwiedzin w tym celu, zaraz był gotów a nieznajomy rozpoczął spowiedź. Wyznał on — jak to sam później podał do protokołu — że owo morderstwo popełnił, i miał zamiar uciec za granicę, ale takich doznawał wyrzutów sumienia, że wprzódy chciał się wyspowiadać i to przed kapłanem, znanym ze świątobliwego życia.

Biedny ksiądz Franck bliskim był zemdlenia. Ale poczucie obowiązku dodało mu siły i zaklinał nieszczęsnego człowieka na wszystko, co święte, aby jeszcze drugiej zbrodni nie dodawał do pierwszej i przynajmniej od śmierci wybawił niewinnego, który nazajutrz miał być straconym, bo to najpierwszym było sposobem naprawienia zbrodni i odpokutowania za nią.

Ale do tego nie dał się zbrodniarz nakłonić, sądził on, że dosyć już uczynił, jeżeli się swego grzechu wyspowiadał.

Kapłan wszelkich używał środków, aby nakłonić nędznika do ratowania brata jego od śmierci, dopóki jeszcze był czas. Skoro jednakże morderca usłyszał, że skazany oficer jest rodzonym bratem kapłana, podskoczył jak zwierz rozjuszony, wydobył sztylet i pogroził: „Jeżeli mię kiedy zdradzisz, tym sztyletem cię przebiję!“ Kapłan jednakże odpowiedział ze spokojem: „Chętnie dałbym się zamordować, aby niewinnemu uratować życie, ale wolałbym tysiąc razy umrzeć, jak choć słówko zdradzić z tego, co usłyszałem na spowiedzi — to, co powiedziałeś, pozostanie pomiędzy Panem Bogiem a tobą. Tylko proszę cię raz jeszcze, zastanów się nad tem, co to jest wydać niewinnego na śmierć!“

Zbrodniarz nie słyszał już ostatnich słów, wybiegł spiesznie z pokoju i tylko jeszcze odgłos kroków jego słychać było z sieni.

Ks. Franck czuł, że nogi pod nim drżały, myśli w żaden sposób nie mógł zebrać, czuł,

że siły jego złamią się pod naciskiem tego okropnego położenia, dla tego niezwłocznie udał się do Arcybiskupa, i oświadczył, że czuje się chorym, bardzo chorym, i że sobie życzy, aby podczas jego choroby kapłan go pilnował, bo obawia się, aby w gorączce febrycznej nie zdradził świętej tajemnicy.

Arcybiskup zmiarkował, o co chodziło, dla tego postanowił sam być pomocnym nieszczęśliwemu kapłanowi, i kazał mu w pałacu swoim przysposobić pokój, aby tem lepiej módz obowiązek względem niego wypełnić. Ks. Franck zaledwie mógł się utrzymać na nogach, pomimo tego jednakże chciał jeszcze po raz ostatni widzieć się z bratem i udzielić mu błogosławieństwa. Arcybiskup sam pojechał z nim w swoim powozie do więzienia.

Rozdzierający był widok dwóch braci, którzy po raz ostatni w tem życiu się ściskali. „To właśnie“, rzekł Biskup, „powinno dla chrześcijanina być źródłem pociechy. Umierać niewinnie jak nasz Zbawiciel, to lepiej, jak być skazanym na śmierć dla zbrodni popełnionej; wszakże tak samo zamordowano Zbawiciela, zamordowano Apostołów jego, i zamordowano 13 milionów pierwszych chrześcijan“.

„Ale imię moje uczciwe shańbione jest w oczach ludzi“.

„Tak, ale na szczęście Pan Bóg jaśniej widzi, jak ludzie, a sprawiedliwość jego to sprawi, że dobra sława twego imienia i pomiędzy ludźmi zostanie przywróconą. Przykro to — prawda — i okropnie, być tak w imię prawa i sprawiedliwości niewinnie zamordowanym, ale Ten, który nad życiem i śmiercią ma władzę, jest tak bogatym, że tę niedolę i strachy śmiertelne tysiąckrotnie w lepszem wiecznem życiu może wynagrodzić“.

Wśród płaczu i łkania uścisnęli się bracia po raz ostatni, a Arcybiskup zabrał ks. Francka do swego pałacu. Tu musiał się zaraz położyć do łóżka, a w nocy popadł w gwałtowną gorączkę. Kilka dni pozostał tak bez przytomności — było to szczęściem dla niego. Brata tymczasem publicznie na placu zdegradowano i powieszono na szubienicy. W ostatniej godzinie przyjął on Sakramenta święte, w których zaczerpnął siły do zniesienia hańby i śmierci niewinnej z cierpliwością i poddaniem się woli Bożej.

Chory kapłan mówił w gorączce bez przerwy o bracie, o szubienicy, o wieczności, o szczęśliwem zobaczeniu się w niebie, ale o swej spowiedzi, ani o niczem, coby na domysł jaki mogło naprowadzić, nie było wzmianki.

Arcybiskup dziękował Bogu z całego serca, że się nie stało to, czego się chory obawiał. On sam czuwał nad łożem kapłana i z największą pielęgnował go troskliwością.

Zwolna przychodził kapłan do przytomności i do zdrowia, ale jeszcze przez długi czas był tak osłabionym, że lekarze za zupełne wyzdrowienie ręczyć nie mogli. Z czasem dopiero odzyskał dawniejsze siły, że mógł na nowo poświęcić się duchownej swej pracy, ale zawsze zdawał się być przygnębiony ogromnem brzemieniem i tylko u Boga szukać mógł pociechy i ochłody dla serca zbolałego, bo tylko przed samym Panem Bogiem serce swe mógł wylać.

Od owego okropnego dnia upłynęło zaledwie dwa lata, a biedny kapłan — zdawało się — zestarzał się o jakie lat dwadzieścia, gdy razu pewnego nadeszło z pewnego miasta w Ameryce do sądu w Dublinie pismo, w którem doniesiono, że tamże w szpitalu nędznie żywot zakończył człowiek, który w ostatnich chwilach wezwał sędziego i kilku świadków i zeznał protokolarnie, iż w Dublinie popełnił morderstwo, za które porucznik Patrycyusz Franck niewinnie został stracony. W protokole było dalej zeznanie, jako przed ucieczką wszystko na spowiedzi wyznał ks. Franckowi i nie chciał nic uczynić, aby nieszczęśliwego uwolnić od śmierci. Teraz, gdy ma stanąć przed sądem Bożym, zeznaje to wszystko, aby naprawić, ile się da jeszcze.

Można sobie wyobrazić, jakie wzruszenie list ten w Irlandyi wywołał. Czcigodny ks. Franck był przedmiotem ogólnej czci; ci nawet, którzy nie należeli do Kościoła katolickiego, dawali mu dowody podziwu i szacunku. I niemałą to było dla serca jego ulgą, gdy wyrok krwawy, który na bracie jego został spełniony, publicznie cofnięto i dobrą mu sławę uroczyście przywrócono.

Wydawca: Ks. Karol Nikiel. Odpowiedzialny redaktor: Karol Holeksa

Drukarnia »Głosu Narodu« w Krakowie.